

nie niektórych wykładów, a wieczorem udałem się do China-town, dzielnicy zamieszkałej przez Chińczyków. Tłok, ruch, liczne sklepy. Mali, zafrasowani Chińczycy coś bez przerwy mówili, załatwiali, sprzedawali.

I zbliża się 9 września — koniec naszego pobytu w Vancouver. Wspomnienie z Vancouver jest wspaniałe, a napis na tablicach rejestracyjnych samochodów: *Beautiful British Columbia*, mówi sam za siebie. To jest piękny, niezapomniany kraj. Wieczorem przyjęcie zorganizowane przez naszych fundatorów i opiekunów — Firmę GLAXO i przez ich drogich przedstawicieli — panią Olę i pana Jacka.

Niezapomniane wrażenia mieliśmy również po zwiedzeniu Muzeum Antropologicznego na krańcach miasta Vancouver. Tutaj byliśmy z prof. Wenderem i prof. Domżałem. W pięknym otoczeniu, w zieleni, wśród kwiatów stoi nowoczesny, niewielki budynek. Muzeum posiada wspaniałe zbiory, indiańskie rzeźby, maski, biżuterię, stroje, broń i wiele innych wspaniałości. Trochę chińszczyzny.

W piątek mam wziąć aktywny udział w sympozjum poświęconym etyce lekarza neurologa. Jest to ostatni dzień Kongresu. Na sali jest około 30 osób. Zgłosiłem przewodniczącemu chęć udziału w dyskusji. Na szczęście na sali widzę naszych przyjaciół z GLAXO — panią Olę i pana Jacka. Słucham referatów o problemach etycznych na wszystkich kontynentach świata, zależnych od religii, kultury. Te problemy oczywiście odbijają się na etyce lekarza. W końcu spotkania miałem możliwość wypowiedzenia moich rozważań o trudnych zagadnieniach tajemnicy lekarskiej, która jest niestety powszechnie łamana.

Po południu wyjazd autobusami do Whisler. Odbędzie się tam zebranie poświęcone Imigranowi — lekowi firmy GLAXO, uważanemu obecnie za najlepszy lek przeciw migrenowi. Oczywiście, gospodarzami spotkania była Firma GLAXO. Po dwóch godzinach jazdy autokarem wspaniałą szosą przebiegającą skaliste góry Kanady, dotarliśmy na miejsce. Droga wila się na dużych wysokościach. Widzimy skaliste szczyty, lodowce, tunele, a między górami spadające strumienie, wiele wiaduktów. Wrażenia niezapomniane. Whisler jest niedużą, pięknie położoną w górach miejscowością o wspaniałej architekturze, z małymi hotelikami, restauracjami, kawiarenkami. Domki śliczne. Widać rękę artysty-architekta. Zamieszkaliśmy w hotelu „The Delta Mountain Inn”. Wieczorny spacer po Whisler. Tłum tubylców, wczasowiczów, gości wędruje po uliczkach miasteczka. Gdzieś pijemy piwo. Na drugi dzień, w sobotę — wykłady o Imigranach. Wieczorem wyjazd kolejką linową w góry, na Black Camp na wysokości ok. 2500 m n.p.m. Na szczycie wita nas kobziarz. Obok restauracja. Oczywiście dużo, jak zawsze jedzenia i picia. Próbowałem „krwawą Mary”. Około 23.00 wracałem z prof. Prusińskim. Wsiadliśmy do kolejki linowej w ciemną noc i płynęliśmy w dół, jak w czelustę piekielną. Za chwilę ujrzelśmy światła Whistler. Na drugi dzień — w niedzielę — jeszcze wyprawa na szczyt Whistler pokryty lodowcem. I wreszcie powrót autokarem do Vancouver. Lotnisko, samolot Jambo-yet, daleki lot do Londynu, potem Boeingiem do Warszawy. I wreszcie wita nas Warszawa swoją codziennością.

Bielsko-Biala, styczeń 1994 r.

dr n. med. Olgierd Kossowski

WSPOMNIENIA STARSZEGO KOLEGI...

Moja droga do medycyny

Z urodzenia jestem Warszawikiem z „Rocznika Kolumbów”. Brałem udział w Powstaniu Warszawskim. Po upadku Powstania, pod koniec którego zachorowałem na tyfus brzuszny, po różnych perypetiach, przeostałem się do Krakowa. Tu jednak opuściło mnie szczęście, zostałem zaaresztowany przez niemiecką policję i w rezultacie znalazłem się na przymusowych robotach w Niemczech. Moim współtowarzyszem okazał się znany aktor Władysław Tosik-Hańcza, z którym razem stawialiśmy baraki dla personelu kolei niemieckich.

W miejscu pracy, w pierwszych dniach maja 1945, wysłuchałem ostatniej mowy Hitlera, w której zapewniał o „Wunderwaffe” i ostatecznym zwycięstwie III Rzeszy. Widziałem rozentuzjasmowane Niemki, płaczące z radości. Ja, bezsilnie zaciskałem pięści, nie mogąc doczekać się Wolności! Widziałem moich rodaków wychudzonych i chorych, pędzonych w pasiakach z Dachau, w głąb gór, by na rozkaz pomyłonego Führera, budować jeszcze fortyfikacje nie do zdobycia tzw. „Alpenfestung”. Nie wytrzymałem! — „dałem nogę”! Szedłem wzdłuż torów, po których nie kursowały już pociągi, w kierunku Amerykanów nacierających na południe. Na jakimś małym przystanku, u zawiadowcy stacji zagotowałem sobie kaszę, którą po uprzednim odcedzeniu kamieni, ze smakiem zjadłem (pochodziła ze zbombardowanego wojskowego magazynu zbożowego).

Idąc dalej, przeżyłem w pewnym momencie, jakby specjalnie wyreżyserowaną przygodę. Z lasu, przez który przebiegał właśnie tor, usłyszałem nagle w języku niemieckim, głośnie wezwanie do zatrzymania się „Halt!”. Z lasu wyrzwał żołnierz „Wehrmachtu”. „Co najmniej mnie rozbiorą!” — pomyślałem, gdyż słyszałem, że żołnierze niemieccy, pragnąc uniknąć niewoli, przebierali się na cywila. „A może skończy się to jeszcze gorzej?! — przebiegło przez moje myśli. — „Czy stąd, skąd idziesz, nie ma patroli żandarmerii?” — usłyszałem pytanie. — „Nie!, a czemu pytasz?” zapytałem wówczas ja. — „Bo ja mam już dość tej zaszrannej wojny, idę do domu!”.

Wobec powyższego i ja go śmiało zapytałem, czy stąd, skąd idzie nie ma patroli? — „Nie!” — brzmiała odpowiedź. „A dlaczego pytasz?” — zainteresował się żołnierz. „Bo ja też mam dość wojny!” — odpowiedziałem — „idę do domu, tylko mój dom jest w odwrotnej stronie. Jestem Polakiem!”.

Gdy z jego odpowiedzi dowiedziałem się, że trasa do Holzkirchen „czysta” — obaj nawzajem życzyliśmy sobie szczerze Powodzenia i Pokoju!

W oknach Ratusza w Kolzkirchen zobaczyłem worki z piaskiem, karabiny maszynowe i żołnierzy SS-Kampfgruppen, przygotowujących się do obrony. Byłem kompletnie wyczerpany i załamany. Żałowałem już w duchu tej niebezpiecznej wędrówki ku Wolności!”. Och, ten polski romantyzm!”. Przecież można było bezpiecznie poczekać na zakończenie wojny, w miejscu dotychczasowej pracy, przecież to kwestia najwyżej paru dni?! W tym momencie, wśród niemieckich cywilów, usłyszałem miłe dla mnie wrzaski: „czołówki amerykańskie w odległości 3 kilometrów!”. Odetchnąłem z radością. Przenocowałem w słomie, w stodole u jakiegoś bauera, we wsi leżącej w pobliżu, lecz jednocześnie z dala od szlaków komunikacyjnych.

Następnego dnia — 8 maja 1945 — otrzymałem najlepszy prezent imieninowy w moim życiu — WOLNOŚĆ!

Przez noc wojska amerykańskie poszły już dalej na południe. W samym Holzkirchen zatrząsienie amerykańskich czołgów. Nastrój wśród wyzwolonych Polaków, Rosjan, Francuzów, Belgów i innych „białych niewolników” różnej narodowości, przymusowo zapędzonych do pracy dla Chwały III Rzeszy — wspaniały! Śpiewy, Braterstwo, Flagi Narodowe! Jeszcze w maju, zostaliśmy przewiezieni do Obozu Przejściowego w Monachium, a potem do Coburga. Nie mając wówczas żadnej wiadomości od rodziny z kraju, zdecydowałem się na wyjazd do Obozu Oficerskiego w Murnau, skąd mieliśmy zostać odtransportowani do Włoch, do Armii gen. Andersa. W obozie tym spotkałem się niespodziewanie z moimi serdecznymi kolegami ze szkolnej ławy, żołnierzami „Parasola” i Powstania Warszawskiego: Bronkiem J. (późniejszy lekarz, wieloletni Naczelnik w Ministerstwie Zdrowia w Warszawie) oraz z Jurkiem G. i jego siostrą Jadzią. Wspólnie postanowiliśmy, po dłuższej naradzie nie brać dalszego udziału w tej imprezie (oczekiwała nas bowiem, w najlepszym przypadku Podchorążówka we Włoszech), lecz rozpocząć bądź kontynuować nasze studia za granicą.

Jurek, ze swoją siostrą, korzystając z 2 wolnych miejsc w ciężarówce z Dywizji gen. Maczka, jadącej do Belgii, zabrali się z nią i podjęli, jak się później dowiedziałem studia: on w Liege (włókiennictwo), Jadzia zaś w Gambeaux (ogrodnictwo). Według umowy mieliśmy z Bronkiem do nich dołączyć. Po licznych przygodach i tarapatach, wykorzystując pociągi towarowe zamiast osobowych, które wówczas jeszcze nie kursowały, przedostaliśmy się w Bronkiem etapami, pociągami służbowymi i węglarkami na trasie: Monachium—Norymberga—Bamberg—Coburg do Münster, a więc w pobliże Belgii. Spodziewaliśmy się tu (wg umowy), znaleźć jakieś wiadomości od Jurka i Jadzi. Niestety, żadnych wiadomości

dla nas w Obozie Polskim, ani u Oficera Łącznikowego nie znajdujemy. Nadomiar złego w Nünster zachorował Broniek. Gorączka do 40°. Wysiękowe zapalenie opłucnej. Umieszczono go w pobliskim szpitalu w Telgte. Nasze zamiary zatem przedostania się do Belgii i podjęcia studiów, „biorą w łeb”. Sumienie moje nie pozwalało pozostawić go samego, z dala od bliskich, w niemieckim szpitalu, w tak ciężkiej dla niego sytuacji — ulokowałem się w pobliżu, w polskim obozie, gdzie podjąłem pracę za którą otrzymywałem gotówkę, lepsze przydziały, papierosy za które zdobywałem dla chorego trudno dostępne leki, żywność. Ponieważ stan chorego poprawiał się, był przewożony z sanatorium do sanatorium — pielgrzymowałem między Telgte—Bad Minden—Bad Reckburg itd., podjąłem zatem starania o dostanie się na studia na Uniwersytet Niemiecki, godząc w ten sposób studia z dalszą opieką nad chorym. Przecież naprawdę dużo czasu straciliśmy przez wojnę, uniemożliwiającą nam studiowanie medycyny. W tym czasie nie mieliśmy jeszcze żadnych wiadomości od naszych rodzin w Polsce, ani od przyjaciół w Belgii. Dlatego też ucieszyłem się, gdy 28 listopada 1945, otrzymałem z Central Commission of Germany — PWDP/54501/Exec. B, Appen A) (zgodnie z ustaleniami Umowy Poczdamskiej) zgodę na studia medyczne na Uniwersytecie w Bonn (Rhein. Friedr. Wilh. Universität in Bonn).

Praktycznie studia rozpocząłem 18.12.1945 (Ausweiskarte 100-A). Do studiów dopuszczono 400 cudzoziemców. Grupa polska była najliczniejsza — 120 osób (w tym około 40 na Medycynie). Opiekowała się nami UNRA. Zakwaterowano nas na obrzeżach Bonn. Z Kwestury Uniwersytetu otrzymaliśmy 120 marek miesięcznie tzw. „kieszonkowego”. Wykładowcami byli profesorowie niemieccy, którzy w większości wykładali sjęszcze za czasów hitlerowskich. Nic więc dziwnego, że czasami któryś z nich przez zapomnienie, wchodząc na katedrę, pozdrawiał zgromadzonych w auli studentów, pozdrowieniem hitlerowskim, przez podniesienie prawej ręki — co zawsze wywoływało wśród studentów salwy śmiechu, zaś konsternację i usiłowanie zatuszowania niefortunnego gestu przez profesora. Część profesorów była bardzo pozytywnie ustosunkowana do studentów cudzoziemskich. Do nich zaliczyłbym prof. Gerlacha (światowej sławy fizyka, który podczas wojny wykładał na Uniwersytecie w W. Brytanii), anatoma prof. Stühra, oraz kilku jeszcze innych. Pozostali byli obojętni, a czasami wrogo nastawieni do studentów cudzoziemskich, a przede wszystkim polskich. Niektórzy nasi polscy koledzy mieli trudności w rozumieniu wykładów. W tej sytuacji, „bieglejsi w języku” solidarnie im pomagali. Utworzyliśmy Bratnią Pomoc Studentów Cudzoziemskich. Naprawdę bardzo uroczyście i wzruszająco brzmiało w ustach 400 studentów, przedstawicieli tylu narodowości — „Gaudeamus Igitur!” — odśpiewane wspólnie z tej okazji. Każdy z obecnych myślał: „Braterstwo—Nauka—Pokój—Koniec z wojnami!”. Ze studentami niemieckimi,

pomimo częstych różnic zdań na tematy dotyczące okresu hitlerowskiego, przy wspólnie wykonywanych ćwiczeniach z zakresu chemii, fizyki, czy w prosektorium — nawiązała się pewna forma współpracy i solidarności koleżeńskej, a nawet przyjaźni.

W dniu 23.1.1946, zdało mnie się zdać tzw. „Vorphysicum”, zamykające okres teorii i pozwalające na słuchanie wykładów klinicznych oraz na odbywanie praktyki na poszczególnych Klinikach. Egzamin ten był bardzo tradycyjny i uroczysty. Delikwent musiał obowiązkowo zjawić się nań „pod krawatem”, w ciemnym garniturze i białej koszuli. Otrzymywał specjalną skórzaną, wytłaczaną teczkę egzaminacyjną, zawierającą protokół egzaminacyjny. Z teczką tą już wielu studentów poprzednich pokoleń przystępowało do egzaminu. Sam egzamin był bardzo wyczerpujący, ponieważ w ciągu jednego dnia należało zdać przedmioty: 1 (chemię nieorganiczną i organiczną), 2 (fizykę), 3 (zoologię) i 4 (botanikę). Profesorowie czekali w swoich pokojach na delikwentów. Zdający miał więc wolny wybór, jeżeli chodzi o kolejność zdawanych przedmiotów. Jednakże jedynie zdanie wszystkich czterech przedmiotów, powodowało zaliczenie całości egzaminu. Niektórzy z moich rodaków egzaminu nie zaliczyli. Przysługiwało im wówczas prawo powtórzenia tego egzaminu, w terminie półrocznym od chwili obłania. W tym czasie udało mnie się zamieszkać przy niemieckiej rodzinie polskiego pochodzenia. Nowe warunki w jakich się znalazłem, podtrzymywały mnie na duchu, pozwalały „mówić i oddychać po polsku!”.

Od początku roku 1947, zaczynałem otrzymywać listy od rodziny, wzywające mnie do powrotu do kraju. Po załatwieniu Bronkowi (po przebytej chorobie) transportu do kraju specjalnym pociągiem PCK, sam zakrzętnąłem się wokół własnej repatriacji do Polski. W dniu 2 sierpnia 1947, powróciłem statkiem repatriacyjnym z Cuxhafen do Szczecina.

Po pewnej adaptacji i przyzwyczajeniu się do krajowych warunków, podjąłem studia medyczne na Uniwersytecie we Wrocławiu, aby ostatecznie zakończyć moje wojenno-naukowe peregrynacje Dyplomem Lekarskim Akademii Medycznej w Warszawie w dniu 18.09.1952. W tym ostatnim okresie moich studiów (przez 2 lata), kolegami moimi byli znani wśród tutejszej Społeczności — lekarze kol. Halina i Olgierd Kossowscy oraz nieżyjąca już koleżanka Łukoska.

Stanisław Schönwalder

BESKIDZKA IZBA LEKARSKA

BIULETYN INFORMACYJNY NR 15

Bielsko-Biała, Marzec—Kwiecień 1994

SPIS TREŚCI

Od redakcji	1
Projekty uchwał organizacyjnych	2
Projekty uchwał zjazdowych	4
Projekt preliminarza budżetowego na 1994 rok.	13
Sprawozdanie finansowe za rok 1993 r.	16
Sprawozdanie z obrad Okręgowej Rady Lekarskiej w dniu 4.02.1994 r.	19
Komunikaty	20
Kącik Uśmiechu	25
Analiza roczna i wnioski wynikające z kontroli nad orzecznictwem lekarskim	26
Wspomnienia z Vancouver Olgierda Kossowskiego	27
Wspomnienia starszego kolegi, część I pt. Moja droga do medycyny dr Stanisława Schönwaldera	31

KOMITET REDAKCYJNY

Aniela Ptak, Ryszard Batycki,
Marek Wietrzny, Konrad Kaczyński

Materiałów nie zamówionych redakcja nie odsyła
i zastrzega sobie prawo
dokonywania skrótów, adiustacji i zmiany tytułów

Wydawca: Beskidzka Izba Lekarska

Skład: „Compal”, Bielsko-Biała

Druk i oprawa: „Zakład Poligraficzny Ośrodka Wydawniczego „Augustana”,
Bielsko-Biała, pl. ks. Marcina Lutra 3